

# Mizińska, Jadwiga

---

## Oczy domu

---

Obyczaje 11, 38-39

---

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jadwiga  
Mizińska

# Oczy domu

Ludzie patrzają na świat oczami. Domy patrzają na świat oknami. Okna są takie, jak ich mieszkańcy. Okna miejskie są inne od wiejskich. Działają tylko w jedną stronę. Służą głównie do przepuszczania światła z zewnątrz oraz do reprezentacji. Przez okna w bloku da się co najwyżej sprawdzić, czy jest dzień, zmierzch czy już wieczór. Z dziesiątego piętra nie można dostrzec, czy nadchodzą oczekiwani goście, nie da się pomachać ręką dziecku powracającemu ze szkoły. Nie widać listonosza. W ogóle nie widać człowieka, a tylko - ludzi. Z góry wszyscy są jednakowi - szarzy, malutcy, nierozpoznawalni, anonimowi.

**MIĘSKIE OKNA** nie zdradzają. Nie opowiadają, kto za nimi mieszka, czy jest biedny czy bogaty, szczęśliwy czy nieśczęśliwy, samotny czy skłócony z domownikami i sąsiadami. Plastikowy czy prawdziwy. Miastowe okna wszystko dokładnie ukrywają. Są nieme i coraz częściej ze sztucznego tworzywa. Eleganckie i sterylne. Nieprzepuszczalne. Nie potrafią, czy też nie chcą się otwierać. Ledwie raczą się latem uchylać. Ożywają dopiero wieczorem. Ale co to za życie: enigmatyczne, mało-mówne, skryte. Oświetlone bądź ciemne anonsują zaledwie, czy państwo w domu i czy jeszcze nie śpią - choć może tylko zapomnieli zgasić lampkę.

Okna miejskie są chore na kataraktę. Niby patrzają a nie widzą. Nie można im też spojrzeć w oczy. Zaraz zaczynają mrugać sinym światłem telewizorów. Czasem, z rzadka, zapadają także na choroby psychiczne. Wyrzucają wówczas szaleństwo na parapet. Na dole zbierają się tłumy, przyjeżdżają milicyjne wozy i karetki pogotowia. Szaleństwo w kaftanie jedzie do szpitala, a okno znowu zaciąga się bielmem firanki. Zimą o blaszany, szklisty parapet stukają głodne dzioby ptasie. I odfruwają głodne na śmietnik, bo okruszyny polyka wiecznie zaprzężony odkurzacz.

Jeszcze nie tak dawno okna w bloku świętowały od wielkiego dzwonu. Stroili się na strąk albo kiedy przybywał z pielgrzymką papież. Teraz już nigdy nie mają niedzieli. Codziennie takie same, martwe, nijakie. Blokują mieszkańców bloków. Strzegą ich od złodziei, od krzyków dzieci z piaskownicy, od oddechu złego powietrza. Izolują od świata i od samego siebie. Raz tylko, odkąd pamiętam, w naszym bloku pootwierały się wszystkie okna i drzwi balkonowe. Było to któregoś roku w lipcu, na imieniny Anny. Siedzieliśmy u Pani Ani i jej chorej Matki i jedliśmy imieninowy tort. Nagle Piotrek zawołał: wszyscy na balkon! Nad wąwozem, kilkanaście metrów nad ziemią płynął majestatycznie ogromny balon. Kolorowy, ale dostojny. Ledwo zdążyliśmy uwierzyć, że to nie fantasmagoria, a już nadpłynął drugi, za nim trzeci, czwarty i ósmy. Każdy innej barwy, ale wszystkie równie piękne, łagodne i nierzeczywiste. Taki prezent. Już nigdy potem nie nadpłynęły, widocznie były tu przelotem. Okna,

tak zwykle znudzone - jęknęły z podziwu. Może przez chwilę poczuły tęsknotę, ale potem znowu oczy zaszkliły im się sennością i martwością. Gapią się z napręciwką jedno w drugie, bez wyrazu.

Okna wsiowe są żywe i bardzo ciekawe. Umieszczone nisko nad ziemią, pilnie obserwują i opowiadają, co się na niej dzieje. Na podwórku u siebie, u sąsiadów i na drodze. Okno od drogi nie przepuści nikomu. Najpierw sprawdza, czy dzieci, jak zwykle, jeszcze zaspane, biegną wszystkie do szkolnego autobusu. (Dlaczego dziś nie ma Tadzia? Aha, rąbie z ojcem drewno na podwórku, pewnie woli to niż klasówkę z matematyki). Potem poprzedzona dźwiękiem klaksonu nadjeżdża pani Kasia, wioząc żuczkiem pieczywo. Z podwórka nadciągają stali klienci. Babcia Jastrzębska z Norbusiem na rowerku po drożdżówki, pan Walczak - dwa duże chleby, pani Ulka po suche, wczorajsze pieczywo dla kozy i kur, czasem pani Teresa po bułeczki dla Michała, Pawła i Sylwii, jak przyjeżdżają w piątek z internatu. Pan Henryk woli kupować w sklepie, zawsze rano można się u Sklepowego dowiedzieć, co zdarzyło się na wsi przez noc.

Po śniadaniu dorośli ruszają do pracy. Kobiety z koszykami na zarobek. Do sadu, zrywać jabłka u bogatszych gospodarzy, albo na pole, wrywać cebule, zbierać kartofle, buraki, ciąć kapustę - jak to jesienią. Mężczyźni, wyprowadziwszy krowy i konie za stodoły na wspólne „paświsko”, zabierają się do swoich spraw. Pan Zbyszek z ekipą do remontów po powodzi nie może ogonić się od roboty. Pan Zdzichu, jeśli to nie poniedziałek (dzień po niedzielnej wypitce) - z drabiną i wiadrami do malowania. Tylko tata Norbusia ma pracę na miejscu, naprawia samochody we własnym warsztacie.

Ulica ożywa na powrót, gdy dzieciaki wracają ze szkoły i po obiedzie lecą grać w piłkę. Same zrobiły sobie w wierzbach boisko, a także - same sobie uplotły siatkę. Osobno „do nogi”, osobno do siatkówki. Czasem wpadają do mnie i pytają: „Jest co do roboty? Bo się nudzimy.” Albo: „Czy można się pohuścić na huśtawce?” Zimą, w przerwie świątecznej, zjeżdżają z górki w parku na wypchanych sianem plastikowych workach po nawozie.

Zaszczekał Brutus, wyglądam oknem na podwórko. Przy furtce Dziadek Wła-

dek. Potrzeba mu pożyczyć latarkę, bo przyszedł elektryk, dawny kościelny z parafii, będą ładować światło. Bez latarki na nic, nie da się trafić do korka...

Czasem okna same wołają, żeby przez nie wyjrzeć. Niekiedy trzeba im jednak pomóc. Zorientowałam się w tym podczas wizyty u pani Mieci. Było chłodno, paliło się pod kuchnią. Zaprosiła siadać do stołu, nakroiła domowego ciasta do herbaty. Ja, jako gość, przodem do ich okna, ona - mając je za plecami. Rozmawialiśmy żywo o ostatnich wydarzeniach - na wsi ukradli konia. Pani Miecia, nie przerywając narracji, co chwila odruchowo odwracała głowę, jakby ją coś wzywało.

W domu jedynie komentowało się życie, ono samo toczyło się za oknem. Trzeba było być uważnym i baczny. U sąsiadów z naprzeciwka pan Bolek naprawiał dach na oborze. Najpierw przydźwigał drabinę, oparł o ścianę. Następnie poszedł do dziadka Władka „się rozgrzać”. Widocznie nieźle mu poszło, bo po godzinie ochoczo wspiął się na dach. Ale za moment rozległ się łoskot i krzyk. Pani Miecia wybiegła z mieszkania, ja za nią. Pan Bolek leżał na cementowej posadzce brocząc krwią z rozbitej skroni.

- Wezwać pogotowie? - spytałyśmy przerażone, widząc, że żyje.

- Broń Boże! - zakazał pan Bolek i polecił nam zawołać syna z traktorem, bo w pierw należało przepłukać usta po dziadkowym „koktajlu”.

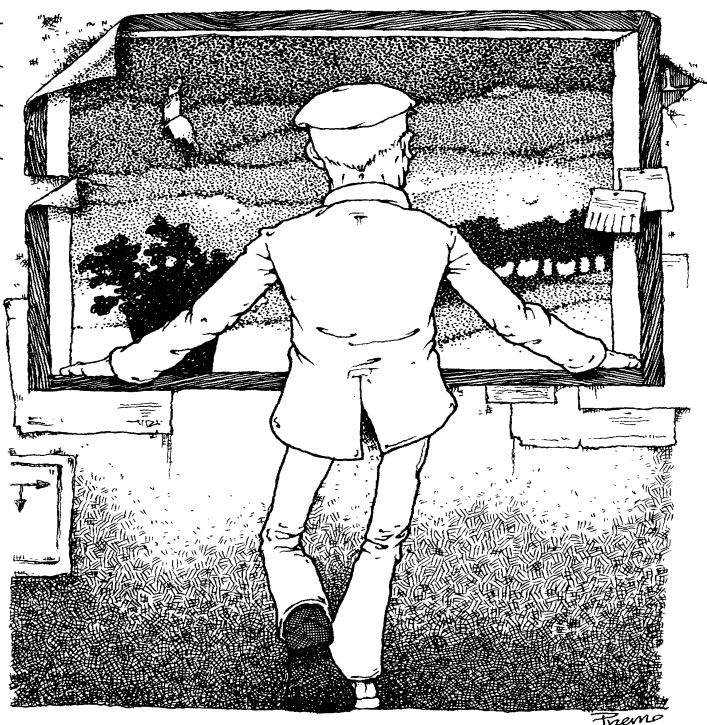
Skończyło się na pękniętym żebrze i „wypadniętej miednicy”. Pan Bolek roztrząsał ją sobie na traktorze, ale w szpitalu wyładował honorowo: już prawie trzeźwy i w czystej bieliźnie. Wszyscy mu współczujemy, najbardziej dziadek Władek: „Po co łóz na dach przy poniedziałku!”

W naszych oknach pełno kwiatków. Doniczki z pelargoniami, prymulkami, begoniami, liliami świętego Józefa, które kwitną raz do roku, na Wielkanoc. Pani Helena wiosną roznosi od domu do domu zaszczepki. Nie należy dziękować, bo się nie przyjmą. Okienne kwiatki muszą być niskie, żeby nie zasłaniały widoku. Większe: fikusy, asparagusy, paprotki stawia się na specjalnych drewnianych stojakach w dużym pokoju.

Na zimę zakłada się okna podwójne, zniesione ze strychu. Słabiej wtedy widać, zwłaszcza, jak jeszcze wlezie na szyby mróz. Trzeba wtedy wychuchiwać dziurki do patrzenia.

W Środopocię chłopaki nie śpią i nad ranem zamalowują od zewnątrz szyby wapnem. Na drugi dzień gospodynie trochę przeklinając, trochę się śmiejąc, czyszczą okna. Najlepiej - suchym papierem. Panny, których okna pominięto - obrażo-

Rys. Przemysław Tytus Krupski



ne. Kpią z tych, które czyszczą szyby, ale im zazdroszczą.

Okna są takie, jacy domownicy. Bywają wystawne, zawieszane falbaniastymi zasłonami i tiulowymi firankami, bywają byle jak zasłonięte poźółklymi zazdrostkami. Zimą w jednych parapety założone watą, a na nich sztuczne kwiaty albo grzybki, bombki lub gałązki choiny, w innych zeschłe muchy. Są okna wesole i okna smutne, okna młode i okna zgrzybiałe, okna samotne i okna towarzyskie. Okna z kotem i okna z zewnątrz zasłonięte folią, żeby było cieplej i żeby nie przeciekało.

Na wsi jesteś niewidoczny tylko wtedy, kiedy to ty spoglądasz przez okno zza zasłonki. Inaczej - wszystkie okna patrzą na ciebie. Nie umkniesz przed ich wzrokiem. No i dobrze, bo każdy przecież może kiedyś spaść z dachu.

Okna wszystko widzą, okna nie wszystko mówią. Czasem spoglądają ci otwarcie w oczy, czasem podglądają kosym okiem. Letnimi wieczorami wdychają po ciemku woń maciejki, zimowymi wieczorami pilnie strzegą ciepła gromadzonego przez cały dzień w ogrzewanych drewnem piecach. Okna wsiowe otwierają się i zamykają. Tego roku lato było tak upalne, że nie opłacało się w wakacje zamykać lufcika. Kiedyś rankiem patrzę... a tu do środka zagląda długi, zielony wąs winogrona. Zawadiacko zakreślony. On też ciekawy, co u mnie słychać. I widać. Ciekawość - pierwszy stopień do piekła. Uchyłone okna. Stopień drugi - brak ciekawości i obojętność. Okna zatrzęsnięte na głucho. I na ślepo. ■

**Jadwiga Mizińska** jest profesorem filozofii w Instytucie Filozofii UMCS, kierownikiem Zakładu Socjologii Wiedzy, autorką m.in. książek „Uśmiech Hioba” (1998), „Imiona losu” (1999), „Herbert - Odyszeusz” (2001).